

## Okruchy cz.1

Z Babimostu

W sierpniu 2017 r. uczestniczyłem w bardzo udanej uroczystości, zorganizowanej dla uczczenia sześćdziesięciolecia powstania 45 plm WOPK w Babimoście. Przy pomniku, czyli cokole z historycznym samolotem Lim-6, zebrała się duża grupa weteranów – byłych żołnierzy tego pułku silnie wsparta Paniami – w części wdowami po tych, którzy już spoczywają na babimojskim cmentarzu. Szczególnie pięknym było to, że uczestnikami uroczystości były również dzieci z tych wojskowych rodzin, oczywiście teraz już ludzie w sile wieku.

Druga, również bardzo udana część uroczystości odbyła się w Gminnym Ośrodku Kultury, w który zamienił się rozbudowany dawny Garnizonowy Klub Oficerski na osiedlu wojskowym. Siedzieliśmy przy wspólnym stole w dwukrotnie powiększonej dawnej kawiarni klubowej, bardzo dobrą atmosferę rozmów wzmacniał bardzo smaczny poczęstunek. Dla mnie dodatkową satysfakcją było zaproszenie mnie do podzielenia się z zebranymi swoimi wspomnieniami sprzed pół wieku, które zostały dobrze przyjęte i uruchomiły inne wypowiedzi. Dodam tylko, że na te moje wspomnienia byłem przygotowany, zabrałem nawet ze sobą skrypt tych wspomnień z Babimostu sprzed ponad pięćdziesięciu lat i zgodziłem się na ich wykorzystanie w części wspomnieniowej strony internetowej organizacji, która podtrzymuje pamięć o babimojskim pułku lotniczym i dba o zachowanie tej lotniczej tradycji.

Umyślnie przyjechałem do Babimostu pociągiem, aby przejść się drogą ze stacji kolejowej do koszar, którą to drogą w dniu 01.III.1963 roku, jako podchorąży trzeciego roku Technicznej Oficerskiej Szkoły Wojsk Lotniczych wszedłem w moje prawie siedem lat służby w tym pułku. Wtedy cała nasza dziewiątka podchorążych, w pięknym, zimowym krajobrazie, szła ku miasteczku tą wybrukowaną kamieniami polnymi drogą, przy której stało niewiele domów. Były akurat popołudniowe loty i po prawej stronie widzieliśmy srebrne samoloty startujące i lądujące na niedalekim lotnisku.

W sierpniu 2017 wszystko było zupełnie inaczej. Z pociągu wysiadło nas tylko dwóch pasażerów, nie zauważyłem, żeby ktoś wsiadał. Na tego drugiego wysiadającego czekał nieco młodszy ode mnie mężczyzna. Obaj, rozmawiając po rosyjsku, wsiadli do samochodu z miejscową rejestracją i odjechali wyasfaltowaną drogą. Budynek stacyjny był zupełnie pusty, kasa biletowa, podobnie jak sala poczekalni były zamknięte. Podobnie zamknięte były drugie drzwi od strony peronu, za którymi w tamtym czasie stała waga, na której wazyliśmy się podczas niedzielnych spacerów. Nie dowiedziałem się więc, czy ta waga tam jeszcze jest. Wzdłuż drogi przybyło wiele nowych domów, bez większych trudności rozpoznawałem między nimi te dawne, stojące tam już pół wieku temu.

Wracając raz jeszcze na peron babimojskiego dworca kolejowego, dodać muszę, że scena z dwójką tych rozmawiających po rosyjsku mężczyzn przywołała wspomnienie pewnego zdarzenia jeszcze z lat sześćdziesiątych, z czasu służby w babimojskim pułku. Z jakiegoś służbowego powodu, a więc w mundurze i z bronią, jechałem w godzinach nocnych do Wrocławia, trasą przez Głogów. Na jednej ze stacji wsiadła do tego samego wagonu grupa mężczyzn, prawdopodobnie jadących do pracy, chyba na ranną zmianę. Ci głośno zachowujący się mężczyźni w pewnym momencie zaczęli śpiewać ukraińskie piosenki, w których zwrot „rezać Lachiw” powtarzał się bardzo często. Może zrobili to dlatego, że zobaczyli mnie, polskiego oficera, do tego w ubiorze służbowym i z bronią? Poczułem atmosferę wydarzeń przedstawianych w książce Gerharda „Łuny w Bieszczadach”, w filmie „Ogniomistrz Kaleń” a także w drugim z kolei opowiadaniu pod tytułem „Numer

próbny”, z książeczki Andrzeja Mularczyka: „Czym ja żyłem życiem”. Do dziś pamiętam - pomyślałem wtedy, że na szczęście, to ja a nie oni są uzbrojeni, ale także i o tym, że gdyby przypadkiem próbowali odebrać mi broń, na pewno musiałbym się potem długo i nie wiem czy skutecznie, tłumaczyć się z jej użycia.

Przejsie przez Babimost chciałem rozpocząć od wejścia do kościoła, w którym przed ponad pół wiekiem zachwylił mnie drewniany tryptyk nad głównym ołtarzem, podobno dzieło ze szkoły Albrechta Duerera. Niestety zderzyłem się z metalową kratą (niedzielna pora obiadowa) i tylko sprzed tej kraty zobaczyłem, że ołtarz główny wygląda inaczej. Pięknie, nieporównywalnie lepiej niż pół wieku temu prezentuje się babimojski rynek i jego ratusz, chodniki są równe, kocie łby babimojskich ulic przykryte zostały asfaltem, po prostu tamta przeszłość nie istnieje. Zniknęło jednak lub zmieniło przeznaczenie kilka, przynajmniej dla mnie charakterystycznych obiektów, jak choćby apteka Państwa Suchockich, w której jest teraz sklep Chaty Polskiej, restauracja „Babimoszczanka” i kawiarnia na piętrze nad nią u zbiegu ulic Kargowskiej i Wolsztyńskiej, zamknięte na głucho, czy przebudowany dawny Dom Kultury, czyli stara synagoga. Nie istnieje też postawiony w latach sześćdziesiątych pawilon, w którym była księgarnia, podobnie nie ma już sklepu i warsztatu ze sprzętem RTV, w którym pracował, po odejściu z Domu Kultury, Andrzej L., zięć Państwa Suchockich. Trwa w swojej ruinie dawny zbór ewangelicki, w przeszłość odszedł ewangelicki cmentarz, na części którego stoją bloki mieszkalne. Kamień, mający przypominać o tym dawnym cmentarzu ma wprawdzie polski i niemiecki napis o pierwotnym przeznaczeniu tego miejsca, nie ma jednak na nim żadnej daty. Na mnie sprawił wrażenie, jakby był z innej rzeczywistości, nie wiadomo po co i dla kogo stamtąd do tej nowej dla mnie rzeczywistości przeniesiony.

Podobnie, jak podczas odwiedzin u mojego dawnego towarzysza broni, Jaśka „Pszczóły” Sz., czternaście lat temu, poszedłem na cmentarz, aby chociaż pokłonić się tym dawnym towarzyszom broni, którzy już wtedy tam spoczywali a także zobaczyć, kto się „domeldował”. A tam zderzyłem się z szokującą, nową jakością! Mimo, że miałem miejscowego przewodnika, nie znalazłem już tamtej, trochę osobnej kwatery moich dawnych towarzyszy broni, za to spoczywają na tym, dla mnie całkiem innym cmentarzu, pod pięknymi pomnikami i kamieniami nagrobnymi, znacznie młodszy ode mnie byli żołnierze babimojskiego pułku. Zachwylił mnie pomnik na grobie księdza Meissnera, proboszcza z czasu wojny i lat czterdziestych, ale jednocześnie przez to, że nie znalazłem tamtych całkiem niedawnych grobów, coś się jakby zamknęło.

Już po moim odejściu z Babimoście zniszczony został nieczynny ewangelicki cmentarz, chyba tylko dlatego, że ponemiecki. Kojarzę to tak, bo również w tamtych latach zniszczony został leżący poza miastem niemiecki cmentarz ewangelicki w Pile, w którym to mieście wtedy pełniłem dalszą służbę wojskową. Materiał budowlany, w tym płyty nagrobne z tego cmentarza wykorzystano przy regulacji rzeki Gwdy w mieście. Nieprawdopodobne, a jednak fakt! Zaś z tym babimojskim cmentarzem niepojęte dla mnie jest, że w tym czasie jeszcze żyło w Babimoście wielu potomków tych, których groby zostały zniszczone. Ostatnie pochówki datowane były na koniec lat czterdziestych, pamiętam to, bo ze zwykłej ciekawości byłem kilka razy na tym cmentarzu, jako że leżał on na trasie pomiędzy osiedlem wojskowym a koszarami. Pamiętam też, że zaciekawił mnie wtedy rodzaj kurhanu w środkowej części tego cmentarza. Był to nasyp wysokości ponad jednego metra, o przekroju trapeza, długi przynajmniej na dwadzieścia metrów. Nikt nie powiedział mi, co to tam jest. Tam w ogóle miejscowi na wiele pytań o przeszłość nie odpowiadali, mówiąc „Nie wiem, panie”, choć z wieloma byłem na dość dobrej stopie znajomości. Nieraz myślałem, dlaczego bali się

odzywać w swoich sprawach, czy były to skutki wojny, czy później powstałych relacji między dawnymi mieszkańcami Babimostu a przybyszami ze Wschodu, czujących się tam lepszymi ludźmi od tych, którzy nazwani zostali autochtonami, dla mnie jakoś mało chwalebnie.

Tak samo nie znam sprawy zamknięcia i przekształcenia w magazyn kościoła ewangelickiego w tym mieście i zajęcia pastorówki przez szewca u którego niejedną raz reperowałem buty. A stary Winiarz, samotny gospodarz za miastem, przy drodze na Kargowę, który wcale nie mówił po polsku? Czy nazywał się przedtem Weinert, czy też Niemcom nie przeszkadzało jego polskie nazwisko? Wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi, bo czasu i chęci na szukanie tych odpowiedzi coraz mniej. Trudno mi uwierzyć, że ci miejscowi wszyscy nagle stracili pamięć. W części sprawa tej zbiorowej amnezji wyjaśniła mi się, gdy przed kilku laty przeczytałem w naszym „Głosie Wielkopolskim” relację z „wyzwolenia” Babimostu w roku 1945 przez bohaterską Armię Czerwoną. Wtedy, w tym zupełnie niebronionym mieście, zamordowanych zostało w ich domach wielu mieszkańców, było też wiele gwałtów. Przynajmniej jedną dziewczynę, będącą wynikiem takiego gwałtu znałem osobiście. Miała śniadą cerę, czarne włosy i lekko skośne oczy. Część miasta została spalona, wiele mieszkań obrabowanych, podobno w ramach porachunków sąsiedzkich. O dziwo, na temat tego „wyzwolenia” nigdy nie zająknęli się także znani mi mieszkańcy sąsiednich Chobienic, którzy mieli w Babimostie swoich znajomych a nawet krewnych. Tak samo zachował się również autor książki „Czterech pancernych i pies”, kiedy przed wielu laty na spotkaniu autorskim zapytałem Go o to, czemu i po co został nakręcony jeden z odcinków tego serialu, opowiadający o wyzwoleniu Babimostu przez załogę czołgu „Rudy” i wielkiej miłości jednej Babimoszczanki (Krafftówna) i Ślązaka Gustlika (Pieczka) z załogi tego czołgu.